Człowiek to styl. Mieczysław Grydzewski (1894-1970)

Mieczysław Grydzewski, fot. Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Florian Śmieja

Nie należałem do ścisłego grona współpracowników „Wiadomości”, niemniej przeto mieszkając w Londynie często spotykałem Mieczysława Grydzewskiego, a w pewnym okresie nieomal codziennie, w czytelni *British Museum*. Kłanialiśmy się sobie, niekiedy wymieniali kwerendy. Pracowałem wówczas w *School of Slavonic and East European Studies* jako asystent Jerzego Pietrkiewicza. Na miejscu mieliśmy bieżące i dawne numery „Wiadomości”, okazyjnie dostawałem egzemplarze od Antoniego Bormana, lojalnego administratora, którego nieraz odwiedzałem w pobliskim lokalu redakcji. Oczywiście, egzemplarze autorskie nadchodziły regularnie. Dopiero po

opuszczeniu Londynu tygodnik zaprenumerowałem i abonowałem do jego zamknięcia w 1981 roku.

Po odejściu ze *School of Slavonic Studies* do *British Museum* zaglądałem rzadziej. Ponieważ od czasu do czasu posyłałem do „Wiadomości" wiersze i *hispanica*, wywiązała się korespondencja, która trwała od roku 1955 do 1966, a dotyczyła głównie współpracy. Listy redaktora były lakoniczne, stwierdzające przyjęcie czy odrzucenie tekstów. Niekiedy zawierały komentarze, zapytania czy prośby. Wyłania się z tych listów obraz redaktora Grydzewskiego zapamiętany przez jego przyjaciół, zgoła odmienny od pomówień ludzi postronnych czy wręcz niechętnych, którzy stworzyli niedobrą famę, jakoby był on surowym pedantem, który z uporem godnym lepszej sprawy pilnował ustalonego przez siebie wzorca i nie pozwalał na żadne odchylenia od przyjętej normy. Ze zdziwieniem przeczytałem wypowiedź Marii Danilewicz Zielińskiej, zdaniem które:

> Grydzewski wykreślał, skracał i był bardzo despotyczny. Współpracownicy skarżyli się, że zostawiał połowę artykułu albo zmieniał słownictwo. Kultura, 10/637).

W tym miejscu warto może dodać, że aby się uporać z ogromną ilością pracy redakcyjnej, którą sam wykonywał, nie tracił czasu i każdy otrzymany tekst zaraz adiustował i poprawiał, zanim go

ostatecznie zakwalifikował do druku. Kiedyś odesłał mi artykuł przepraszając za poprawki już naniesione:

> (…) nie przypuszczając, że może nasunąć wątpliwości przystąpiłem od razu do adiustacji.

Z tego powodu, mówiono dość powszechnie, wziął się t.zw. „ujednolicony” styl wszystkich współpracowników „Wiadomości”. Tyle legenda. A jaka była rzeczywistość?

W liście do Juliusza Sakowskiego Grydzewski powiada:

> Co do poprawek w artykułach wyjaśniłem i wiele razy już na ten temat mówiliśmy, że są to przeważnie propozycje (bez cudzysłowu), dzwonki alarmowe, sygnały ostrzegawcze i że nigdy nie mają na celu narzucenie autorowi swoich poglądów, ale ulepszenie podania jego własnych, co nie znaczy, by zawsze były słuszne i by autor nie miał prawa ich odrzucić. Osobiście jestem bardzo zadowolony i wdzięczny, jeżeli mi ktoś zwraca uwagę, nawet jeżeli się nie godzę: gdybym miał możność techniczną, każdą robioną przeze mnie notatkę dawałbym dziesięciu osobom do przejrzenia, nigdy nie dość poprawiania! Takie właśnie przygotowanie artykułów do druku uważam za swój obowiązek i nigdy się

> go nie wyrzeknę… Nie rozumiem drażliwości pod tym względem… Skala moich propozycji jest rozległa i jeżeli jestem uparty, to tylko jeśli chodzi o błędy językowe i fakty.

W liście do mnie z 11. stycznia 1958 roku Grydzewski napisał podobnie:

> Poprawki moje są zawsze propozycjami i autor rzecz prosta może je odrzucić.

Kiedyś w moim wierszu drukowanym w „Wiadomościach” znalazło się słowo „mrokiew” używane na Opolszczyźnie. Chodziło o czarne, burzę zwiastujące chmury. Redaktor prosił mnie o wyjaśnienie znaczenia. „Idzie mrokiew od Odry”, powiadali moi *outata*, czyli starzyk.

Grydzewski często radził. Kiedyś na łamach jego pisma polemizowałem z Józefem Łobodowskim, a warto dodać, że Grydzewski z zasady polemik nie lubił. Otrzymawszy mój list Grydzewski odpowiedział, że go zamieści, ale, sądził, że gdybym powiedział pewne rzeczy wyraźniej, to list byłby bardziej przekonywujący. Zaraz potem dodał:

> Naturalnie, to jest tylko moja rada, do której nie musi się Pan zastosować.

Poproszony o sugestie czy pomoc, służył chętnie lub usprawiedliwiał się pilnym wyjazdem, względnie wyjątkowo natężoną pracą. Niekiedy zasięgał mojej opinii w sprawach języka czy literatury hiszpańskiej. Jak dokładnie teksty roztrząsał, świadczy np. ustęp z Lorki, który analizował przy pomocy francuskiej i angielskiej wersji. Pisał wtenczas:

> Będę wdzięczny Drogiemu Panu, za przejrzenie i poprawienie na kopii, którą załączam wraz z oryginałem. W szczególności nie jestem pewny zwrotu „napiętnowana", bo „fletrie" francuskie ma podwójne znaczenie: napiętnowana lub zwiędnięta. Ponieważ narzeczona uciekła z kochankiem, więc prędzej jest napiętnowana, bo skoro młoda, nie może być zwiędnięta. […] Niech Drogi Pan nie traci czasu na uzasadnianie swoich poprawek, tylko poprawi jak wypracowanie ucznia.

Złośliwcy utrzymywali, że stosunek Grydzewskiego do poezji był raczej ambiwalentny. Mówili, że zapasy wierszy, dokładnie pomierzonych, czekały na stosowną okazję, gdy przy łamaniu

numeru powstają okienka, czyli białe plamy, do których redaktor dopasowywał wiersze według ich rozmiarów. Ja bym powiedział, że jeżeli tak było w istocie, to był to zabieg praktyczny, a pikantny szczegół dorzucił w liście do mnie Michał Chmielowiec, następca Grydzewskiego na stanowisku redaktora. Pisał on że”

> „Wiadomości” od lat gardziły tzw. aktualnością i Grydzewskiemu przewrotną przyjemność sprawiło zawsze drukowanie wierszy o wiośnie w listopadzie lub o kotlecie wieprzowym w Wielki Piątek.

Ogłaszanie wierszy nie zawsze było sprawą prostą. Po ukazaniu się mojego wiersza „Forsycja”, odezwał się z Caracas Józef Jenne, który w wierszu dopatrzył się ataku na siebie i w rewanżu napisał wiersz, nakazując Grydzewskiemu ogłosić go również na pierwszej stronie „Wiadomości”. Grydzewski przesłał mi do wglądu ów osobliwy list oraz do mnie zatelefonował, by mi zakomunikować treść odpowiedzi. Powtórzył ją w liście do mnie:

> Mianowicie, że nie dopatruję się w wierszu Pana żadnych aluzji politycznych, a jeżeli nawet są, dlaczego bierze je do siebie, skoro nie jest odwilżowcem, i że wiersza nie będę drukował.

Oczywiście Grydzewski miał świętą rację i pokazał, że poetycki idiom nie był mu obcy.

Na koniec wspomnę drobną jeszcze sprawę. Bawiąc w 1958 roku w Madrycie, pozwoliłem sobie zwrócić się do Grydzewskiego o sprawdzenie, czy British Museum posiada pewną książkę. Spełniwszy moją prośbę redaktor z kolei zlecił mi misję.

> Tak się złożyło, że właśnie pomyślałem kogo znaleźć w Hiszpanii, kto by załatwił mi pewien drobiazg. List przyszedł w samą porę. Będę wdzięczny Panu za przywiezienie mi butelki wody kolońskiej *Arpége* zdaje się *Lanvina*. Nie można tego dostać we Francji, bo jest wyrabiane na wywóz. Kosztuje około 120 pesetów: chodzi mi o butelkę nie większą, ale właśnie w tej cenie…

Swój pierwszy list, w którym Grydzewski zawiadamiał o odrzuceniu moich wierszy, zakończył kurtuazyjnym zwrotem: „Łączę wyrazy wysokiego szacunku”, ostatni, również odmowny, firmował „Łączę serdeczny uścisk dłoni”.

Człowiek to styl.

„Miłosz w Krakowie” – książka Agnieszki Kosińskiej

Młodego Czesława Miłosza zauroczyła w Wilnie studentka prawa z lekarskiego domu. Pisał do niej czułe listy i wiersze. Związek z Jadwigą Tomaszewicz, późniejszą żoną pisarza i awanturnika Sergiusza Piaseckiego, choć nigdy nie sformalizowany, przetrwał całe życie. Była muzą, doradczynią i podporą. Tego aspektu z życia noblisty dotyczy fragment książki Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie”. Autorka towarzyszyła Czesławowi Miłoszowi przez ostatnie jego osiem lat życia, dzięki czemu możemy poznać poetę nie tylko jako twórcę, ale przede wszystkim jako człowieka.

Redakcja

Agnieszka Kosińska i Czesław Miłosz, fot. Joanna Helander.

28 maja 2004, piątek

Wczoraj CM (Czesław Miłosz, red.) poprosił mnie o poszukanie w listach od Jadwigi Tomaszewicz, które specjalnie przywiózł z Grizzly, listu, w którym opisuje ona swój pobyt w szpitalu. Przeglądnęłam i przeczytałam wszystkie i nie znalazłam, o czym

opowiadam CM dziś na sesji roboczej w szpitalu na Skawińskiej, a on wyraźnie ukontentowany, że o niej będziemy rozmawiać.

Agnieszka Kosińska: Wpierw przeczytam panu list od syna Jadwigi Władysława Tomaszewicza do pana, a potem list siostrzenicy Jadwigi Izy Lejwody do pana, bo one porządkują trochę zdarzenia w życiu Jadwigi i mówią o jej trzech pobytach w szpitalu: pierwszym w 1984 roku, kiedy nie mogła jechać do Jugosławii na pana zaproszenie, drugim w 1985 i w 1987, tuż przed śmiercią w roku 1989.

Po lekturze.

A.K.: Jeśli chodzi o komentarze samej Jadwigi o swoim zdrowiu, są bardzo znikome i oszczędne. W ogóle, panie profesorze, to była wspaniała i piękna kobieta.

Czesław Miłosz: Ona była żoną Piaseckiego.

A.K.: Wiem, Władysław był ich synem. Bardzo silna osobowość, z kręgosłupem, a przy tym prawdziwie szczodra i opiekuńcza, to bardzo rzadkie połączenie cech. Wspaniała po prostu. A jej komentarze literackie jakże trafne. Duża inteligencja.

CM (z wyrazem błogości): Cieszy mnie, że pani to mówi.

A.K.: A jakże nie mówić. Miał pan wielkie szczęście. Była pana *cicerone*, dawała panu siłę, usuwając się całkowicie z pana życia. Napisała do pana tylko dziewiętnaście listów (wliczając w to kartki), a pan właściwie przy każdej okazji pisał do niej.

CM: (po dłuższej chwili): No, to podyktujmy.

Moja przyjaciółka, od której dostałem około dwudziestu listów, pisze o swoich kolejnych pobytach w szpitalach, ale zgodnie ze swoim temperamentem nie uskarża się i jedynie z rzadka wspomina na przykład o tym, że pobyt w szpitalu głęboko zmienił jej światopogląd. Dokładnie nie cytuję, bo nie mogę akurat znaleźć tego listu, ale wiem, że było tak.

Moja przyjaciółka Jadwiga, o której wspominam, nie była moją żoną, po prostu przyjaciółką, której zalety rozważam. Była dzielna, wspaniałomyślna i rzadko mówiła o sobie. Nasze małżeństwo, jej zdaniem, doprowadziłoby do licznych awantur, z powodu jej trudnego charakteru.

A.K.: Wręcz przeciwnie! Po lekturze tych listów myślę, że ona doskonale wiedziała, że bylibyście dobrą parą, ale nie mogła tego zrobić. Poczucie stosowności i tego, że musiałby pan skrzywdzić wielu ludzi, nie pozwalały jej na doprowadzenie pana do decyzji porzucenia życia, które pan wiódł, i osób, z którymi pan żył. Wiedziała wszystko to, o czym pan jeszcze nie wiedział, że

w gruncie rzeczy to jest nieważne, z kim jesteśmy, że każdy ma swój los, który spełni się tak czy owak. Dlatego trzymała pana na dystans, emocje na wodzy i od czasu do czasu zrażała pana swym „trudnym charakterem”. Jest takie piękne zdanie w jej liście [z 26 kwietnia 1983 roku]: „są dni, kiedy chętnie bym się z Tobą kłóciła, ale wieczorami i nocami Cię kochała, tzn. wtedy gdy piszesz – o co mi chodzi, lepiej nie pisać”. Tak więc z tym charakterem to nie do końca tak. Przecież Janka też nie miała łatwego charakteru, a związał się pan z nią.

CM: Ooo, tak!

A.K.: No właśnie. Gdzieś przeczytałam, chyba u Wata: „Był tak gniewny, jak tylko dobrzy ludzie potrafią”.

CM: Bardzo dobre zdanie.

A.K.: I proszę jeszcze pomyśleć, w jakich warunkach Jadwiga wychowywała syna, i to czyjego syna! W małym miasteczku Giżycku, samotna matka, jedyna żywicielka swej matki i dziecka. W jakim strachu ona żyła? Co myśleli sąsiedzi, widząc wykształconą i piękną kobietę gospodarującą samotnie w domku z ogrodem?

CM: Tak, doceniam to, co pani mówi, bo pani to zna częściowo z własnego doświadczenia. A teraz doceni pani fakt, że panią

poprosiłem o przeczytanie tych listów.

A.K.: Oczywiście, choć moja sytuacja i czasy są raczej diametralnie inne. Dlatego uważam, że opieka nad bliskimi w sytuacji i warunkach Jadwigi to bohaterstwo.

CM: Myślę o tym, żeby tu powiedzieć o niej prawdę. O jej nazwisku.

A.K.: Myślę, że musimy spytać jej syna. Bo jednak Jadwiga nigdy tego za życia nie zrobiła. Władysław wprawdzie pozwolił na ukazanie się artykułu o poszukiwaniach ojca[1], ale wola należy do niego. Myślę, że znajdziemy formułę, jak zawsze.

CM: Noo, ja zrobiłem portret Niki.

A.K.: Ależ Nika Kłosowska to zupełnie inny kaliber sprawy i inna kobieta. Wielka miłośnica, peregrynatorka i wojażerka.

CM: Ma pani rację. Podyktuję jeszcze.

Było to więc wyrzeczenie się dobrowolne, ale nic teraz, kiedy o niej myślę, nie przeszkadza, żebym wygłosił pochwałę jej anonimatu. I nawet napisał coś w rodzaju miłosnej ody na jej cześć. I wielka litość, kiedy myślę o niej, o ostatnich jej latach, samotnych, w Polsce, o jej chorobach, o niej jako o kłębku bólu,

skurczonej, bo ta pozycja nie narażała jej na ból, i o jej niedostępnej dla mnie śmierci. A przecie musiała jeszcze pokonywać co dzień strach, że odkryją jej prawdziwe nazwisko.

A.K. (zbierając się do wyjścia): Proszę przez weekend pomyśleć nad Jadwigą i formułą. Na sobotę plan taki: do południa Władzia, potem Joanna Zach, potem Zagajewscy, po nich Toni. (dla rozbawienia dodałam:) Ta Joanna to jest niezłe ziółko.

CM: Że co!? (twarz CM zupełnie rozbrojona i figlarna, jakby usłyszał pytanie Jadwigi: „W kim się teraz kochasz, Czesio?”) Teraz jak pani wyjdzie, będę znów rozmyślał, a te godziny wloką się, a potem ten cyrk ze spaniem.

A.K.: Nie może pan spać?

CM: Nie mogę.

A.K.: A musi pan? Ile godzin pan przesypia? Mój ojciec, któremu się zmarło w sześćdziesiątym siódmym roku życia i który zawsze mało sypiał, po pięćdziesiątce spał około czterech–pięciu godzin. Może pod koniec życia długość snu, którego potrzebuje organizm, się skraca? A pan chce na siłę wydłużyć. To się może nie udać.

CM: Noo, nie wiem.

A.K.: No dobrze, za chwilę przyjdzie Toni, musi się tylko zebrać, a jak pan wie, to trwa. Chyba że pójdę i go wykopię?

CM: Tak, proszę iść i go wykopać.

A.K.: Dobrze.

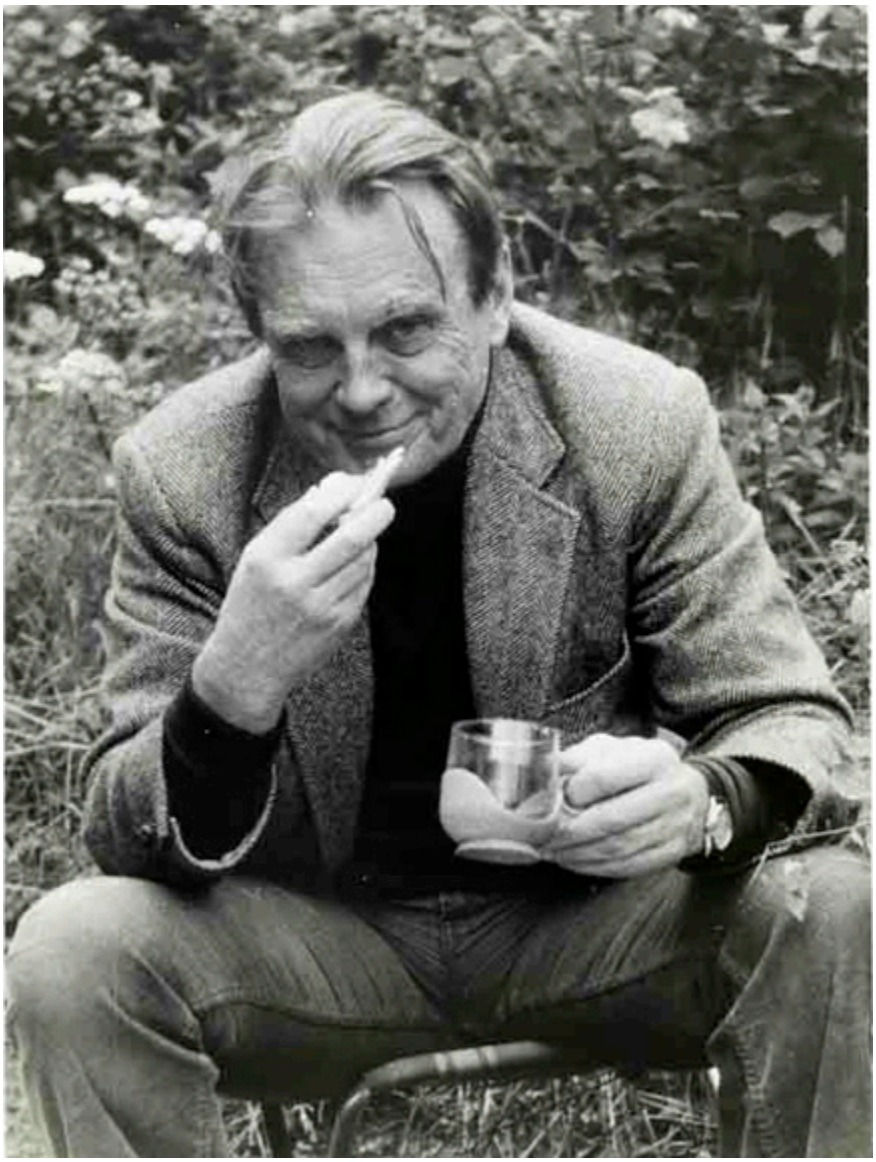

Czesław Miłosz w Burgundii, fot. Andrzej Miłosz. Copyright © by Grażyna Strumiłło-Miłosz and Joanna Miłosz-Piekarska.
Wszystkie prawa zastrzeżone: kosinskamiloszwkrakowie.com

Idę Skawińską, Krakowską, Stradomiem, Gertrudy, Sebastiana, swoją stałą trasą na Bogusławskiego, i myślę o tym, o czym nie powiedziałam CM, a w czym nasza rozmowa i sposób, w jaki o niej mówił (błogość nieschodząca z jego twarzy), właśnie mnie utwierdziły. Że Jadwiga była jego duchową opiekunką, powiernicą idealną. Że choroba Janiny, na którą to chorobę lekarstwem, upraszczając nieco, była Renata, a potem Carol, że ten całożyciowy Miłoszowy galimatias był do zniesienia dzięki Jadwidze i dzięki temu, że składał jej sprawozdanie ze swojego życia, że właściwie powierzył jej siebie. A było to możliwe, bo Jadwiga go nie potępiała, rozumiała jego grzechy i słabości, i wiedząc o nich, w jakimś sensie brała je również na siebie. Była kobietą, która umie delikatnie prowadzić słonia. Nie rezygnowała ze swojej kobiecości, w listach była odrobinę zalotna, melancholijna, ale i dowcipna i ironiczna, świetnie oceniała ludzi. Umiała go pocieszyć, skarcić i umocnić. Czasem jest zniecierpliwiona jego wydumanymi problemami i pisze mu o tym. Ma Czesława za kogoś trochę dziecinnego, komu się wiele wybacza. W kartce z 1 grudnia 1983 roku pisze: „W tym świątecznym czasie cofnij się raz na ulicę Portową, pójdź w nasze wysokie pokoje, stań pod piecem i wspomnij czasy niewinności”. Jakże wiele z niego rozumiała! Najważniejsze tęsknoty CM, z których jego dzieło: za niewinnością, za krokiem wstecz. *Apokatastasis*. Przywrócenie. Wiele jego najpiękniejszych wierszy powstało omyte światłem, które promieniowało z jej osoby. W jakimś sensie „wczesne kochanie spełniło się było”

(z wiersza *Mała pauza*), bo przekształciło się w silne przywiązanie, dosłownie po grób. Po dwa groby: jej i teraz jego. Była ukochaną idealną. Może nawet idealizowaną, co jest doprawdy bez znaczenia, choć akurat dla CM miało to znaczenie, że mógł się nieledwie modlić do ziemskiej królowej, a była nią ona. Bo CM musiał podziwiać, i lepiej, żeby obiekt był tego godzien. Również związek z Carol mógł być możliwy dzięki jej, Jadwigi, czuwaniu, a potem jego pamięci o niej. Tak, była patronką Czesława. A ponieważ poznał ją na studiach w Wilnie i tam zaczęła się ich miłość, była też łączniczką z dawnymi laty, z tamtą ziemią, skąd oboje nie wyjechali nigdy tak naprawdę, choć mieszkali na dwóch planetach i w jakże odmiennych światach. Tak, jego myśli biegły do niej, jej urok spleciony z Litwą trwał. Życie i dzieło poety skąpane jej światłem. Była też tajemnica. Bo jak kobieta takiego charakteru mogła zejść się z takim „awanturnikiem" jak Sergiusz Piasecki? Przeciwieństwo Czesia? A może nie? W jednym na pewno się różnili: Sergiusz był brawurowo odważny, był mężczyzną czynu, i to zbrojnego: żołnierz kampanii 1920 roku, potem w wywiadzie, tzw. Dwójce, niestroniący od ryzykownych nielegalnych akcji (przemyt), co w końcu doprowadziło go do więzienia. Cześ – z przeciwnego brzegu: człowiek literatury, a jego straceńcze wybory życiowe dyktowała raczej bezkompromisowość co do własnej niezależności twórczej niż cywilna odwaga. Nie mogę wyrokować jednoznacznie, że CM był w porównaniu z Piaseckim człowiekiem słabym, tchórzliwym, zadręczał siebie i innych

swoimi wrażliwościami, urazami. Mam za mało danych. Nie znałam Sergiusza osobiście, a i CM znałam pod koniec jego życia. Piasecki, zdaje się, był prosto skrojony: nie hamletyzował, nienawidził bolszewizmu, żył mocno i po swojemu, to znaczy był wierny tylko swoim rozkazom: nie złożył ślubowania AK, odmówił wykonania wyroku na Mackiewiczu. Nieufny, tak jak tylko wielki samotnik może być, wobec wszelkich systemów i instytucji, ale także niehonorowych ludzi i zachowań (takim mógł się jawić mu Miłosz, ale i Wańkowicz). Człowiek wielu talentów, bardzo sprawny fizycznie, skazany za napad pod wpływem kokainy, osadzony w jednym z najcięższych więzień, na Świętym Krzyżu, uczy się tam języka polskiego i pisze w tym języku słynną później powieść *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*. Musiał być człowiekiem fascynującym, o niebywałym charakterze. Witkacy namalował cztery jego portrety. Pytanie: dlaczego Piasecki tak nienawidził (to chyba nie za mocne słowo) CM? Czy tylko z powodu Jadwigi? Wydaje się, że jednak przede wszystkim z powodu akcesu CM do powojennego ładu, to jest służby w dyplomacji rządu komunistycznego. Pełnokrwista powieść o losach tak odmiennych jak CM i S.P. byłaby wyzwaniem. I Miłoszowi Piasecki jawił się jako postać fascynująca: pamiętam, kiedy rozmawialiśmy o Jadwidze, CM pytał mnie, czy jest jakaś współczesna książka (oprócz bardzo dobrej Krzysztofa Polechońskiego *Żywot człowieka uzbrojonego*), która opisywałaby te niezwykłe przemytnicze przygody Piaseckiego.

29 maja 2004, sobota

Prawie cały dzień spałam. W takie dni nie czuję swoich konturów. Wzięłam do domu listy Jadwigi i Czesława, żeby raz jeszcze sprawdzić, gdzie ten poszukiwany cytat się zapodział. Wypisuję kilka zdań, które mnie zatrzymały. „Każdy mocny eliksir miłosny zatrzymuje czas” (kartka CM do J.T. z 31 sierpnia 1984). „I czyżby to tak było przeznaczone, żebym ja miał być tym dębem i pielęgniarzem? Żeby mój egoizm odkupić” (3 lutego 1984). Jeanne[2] „moja confidante” (9 listopada 1984).

Koniec roku 1983 i początek 1984 to bardzo trudny czas dla CM – rozstanie z Renatą Gorczyńską: „więc nie tylko zawód miłosny. Cudowna inteligencja i zupełna neurotyczność”. Radzi się J.T. Rok 1985: Izrael, Londyn z Carol „moją przyjaciółką” (15 marca 1985). „To nieprawda, że ciebie nie kochałem” (14 lutego 1985). „Kochana Jadwigo, Tak dużo w myśli z Tobą rozmawiam” (14 kwietnia 1985). Karta z Rzymu z 1986 roku, po prywatnej kolacji u Papieża po śmierci Janiny. I jedna z ostatnich: „Carol szaleje w ogrodzie, sadzi nowe krzaki pnące i niepnące. A ja dzisiaj rano z okna kuchni zobaczyłem nowy gatunek drozda, który gnieździ się na północy i tu bywa tylko w zimie” (22 lutego 1988).

Jestem bardzo wdzięczna tej osóbce (nie wiem dlaczego, ale wyobrażam sobie, że to dziewczynka), która codziennie, uparcie gra gdzieś nad moim mieszkaniem preludia Bacha (i trochę Garści). Codziennie to robi. Czyli coś każe jej to robić. Pomimo

tego, co wokół i co zawsze przeszkadza. I, czy jej to wychodzi, czy nie, jest to Bach. Kiedy jej się nie udaje, przerywa, wraca do początku, jest to nawet lepsze. Widać wtedy nieomylną sekwencję. Skończoną, bolesną doskonałość w tym dziecinnie prostym układzie.

W tej książce, czego trochę się wstydzę, co chwila strzelam do czytelnika z Bacha. Nie znam się na muzyce, choć dużo (i każdego gatunku) słucham, ale tylko Bach wówczas zdawał egzamin i sam wchodził w ręce.

Fragment książki Agnieszki Kosińskiej „Miłosz w Krakowie", SIW Znak, Kraków 2015, s. 764.

Copyright © by Agnieszka Kosińska i Wydawnictwo Znak, 2015. All rights reserved.

Agnieszka Kosińska, biografia. Czesław Miłosz, książki, dzieła, kalendarium.

[1] Rozmowa Edmunda Szczesiaka z Władysławem Tomaszewskim, *Kochankowie Wielkiej Niedźwiedzicy*, „Przegląd Polski”, 21 listopada 1990.

[2] „Moja powiernica” to Jeanne Hersch.

Artykuł prof. Floriana Śmieji na temat Sergiusza Piaseckiego:

http://www.cultureave.com/sergiusz-piasecki-wedle--camila-jose-celi/

Andrzej Busza. Poezje z tomu „Atol”.

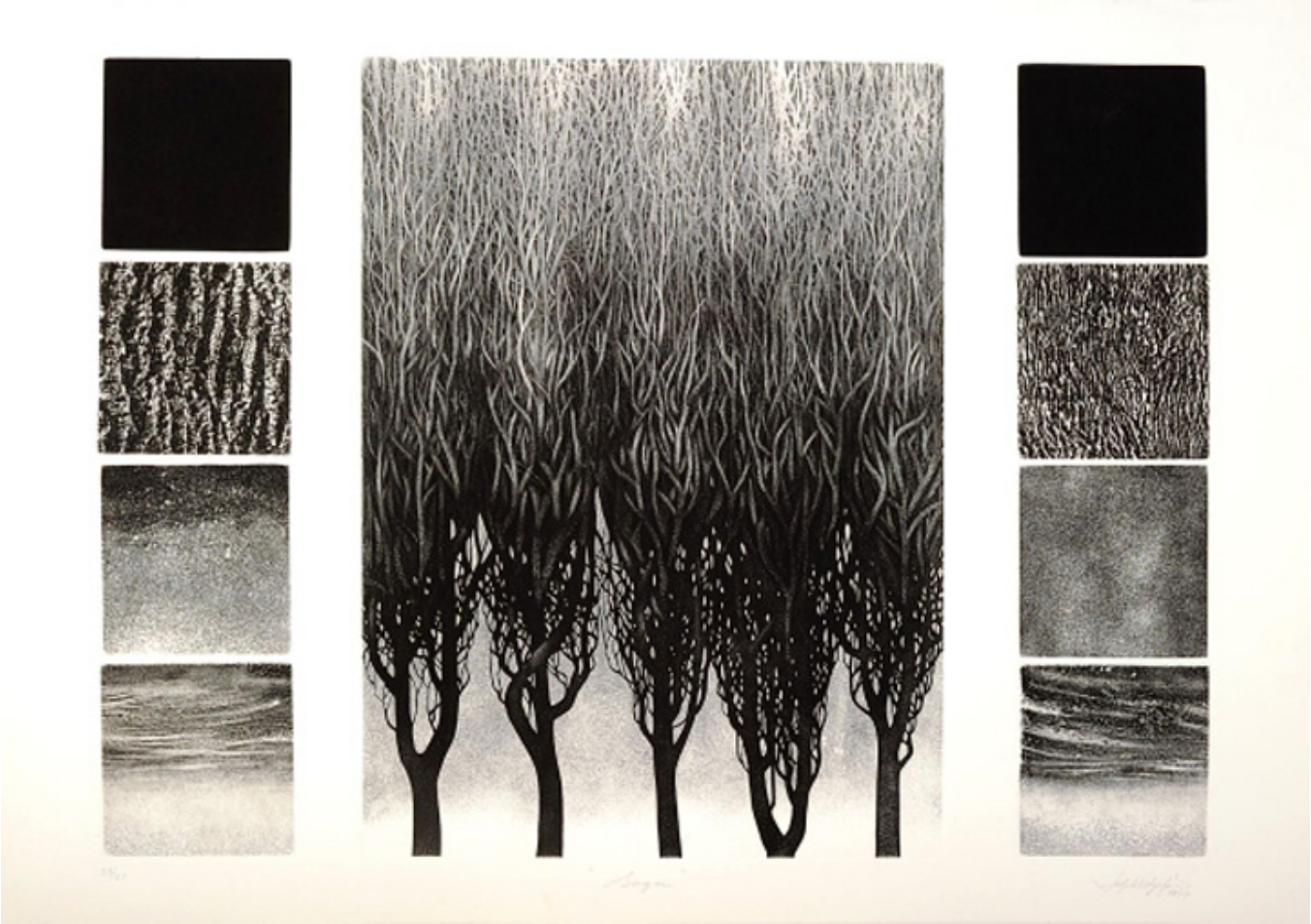

Leszek Wyczółkowski, Saga.

Andrzej Busza urodził się w Krakowie w 1938 r. Jest poetą polsko- i angielskojęzycznym, eseistą, literaturoznawcą. W 1939 r. wyemigrował z Polski. Od 1965 r. mieszka w Vancouver w Kanadzie. Jest emerytowanym profesorem *University of British Columbia*.

Jako najmłodszy reprezentant literatury emigracyjnej po 1939 r. i członek pokoleniowej grupy literackiej „Kontynenty" w latach 50. i 60. XX. wieku w Londynie, jest jednocześnie związany filozoficznie i estetycznie z krajowym nurtem współczesności. W świecie akademickim jest cenionym badaczem i znawcą

twórczości i życia Josepha Conrada.

ATOL

groźny był świt

na mrocznej gałęzi morza

księżyc szalał

jak gong

porażony gromem

po karbowanej blasze fal

toczył się

po grzmocie grzmot

i noc tonęła

w spienionych urwiskach

zawinęliśmy do portu

zatoka wita nas

kirem ciszy

i kleszczami

wulkanicznych skał

mały zardzewiały parowiec

kołysze się

w cyklopim oku wyspy

jak drzazga

w ciemnej glazurze studni

na mostku pilot

kręgiem szklistookich

otoczony baranów

nie flet lecz fajkę

z ust wyjął wrzoścową

mówi

tu kotwice są zbędne

morze nie ma dna

Po wybuchu II wojny światowej rodzice (Alfons i Cecylia Buszowie) schronili się na Huculszczyźnie, gdzie ojciec matki (Apolinary Tarnawski) miał sanatorium. Pobyt tam nie trwał długo. Rodzina Buszów i Tarnawskich ewakuowała się z Polski do Rumunii. Tam nastąpiło rozstanie z ojcem, który udał się do Francji, do tworzących się tam jednostek wojska polskiego. Matka wraz z dziećmi i rodziną Tarnawskich ostatecznie osiedlili się w obozach polskich w Palestynie. To właśnie ówczesna Palestyna była pierwszym stałym elementem jego dzieciństwa, gdyż przebywał tam do 1947, czyli do dziewiątego roku życia. Tam też brat matki, Wit Tarnawski zasiał w nim zainteresowanie i pasję do twórczości Józefa Conrada. Jesienią tego roku przybył z matką do Londynu, gdzie nastąpiło pierwsze od 1939 spotkanie z ojcem. Buszowie uniknęli przebywania w polskich obozach adaptacyjnych w Wielkiej Brytanii, ponieważ ojciec posiadał już własne mieszkanie w Londynie i był dość dobrze w nowym kraju zaaklimatyzowany. Był też przeciwny kontynuowaniu nauki syna w polskich szkołach, organizowanych w istniejących jeszcze strukturach Polskiego Państwa na Uchodźstwie. Tak więc od dziewiątego roku życia aż do ukończenia studiów uniwersyteckich Andrzej Busza związany był z brytyjskim systemem edukacyjno-wychowawczym. Do szkół polskich uczęszczał jedynie w okresie przerw wakacyjnych.

Ukończył filologię angielską na uniwersytecie w Londynie. W

1963 ożenił się z Polką, Wilhelminą Zofią Lech. Od 1965 r. przebywa w Kanadzie. Uzyskał stopień doktora na *University of British Columbia* (Kanada) za rozprawę o stosunku Conrada do literatury rosyjskiej. Na tej uczelni był profesorem literatury angielskiej.

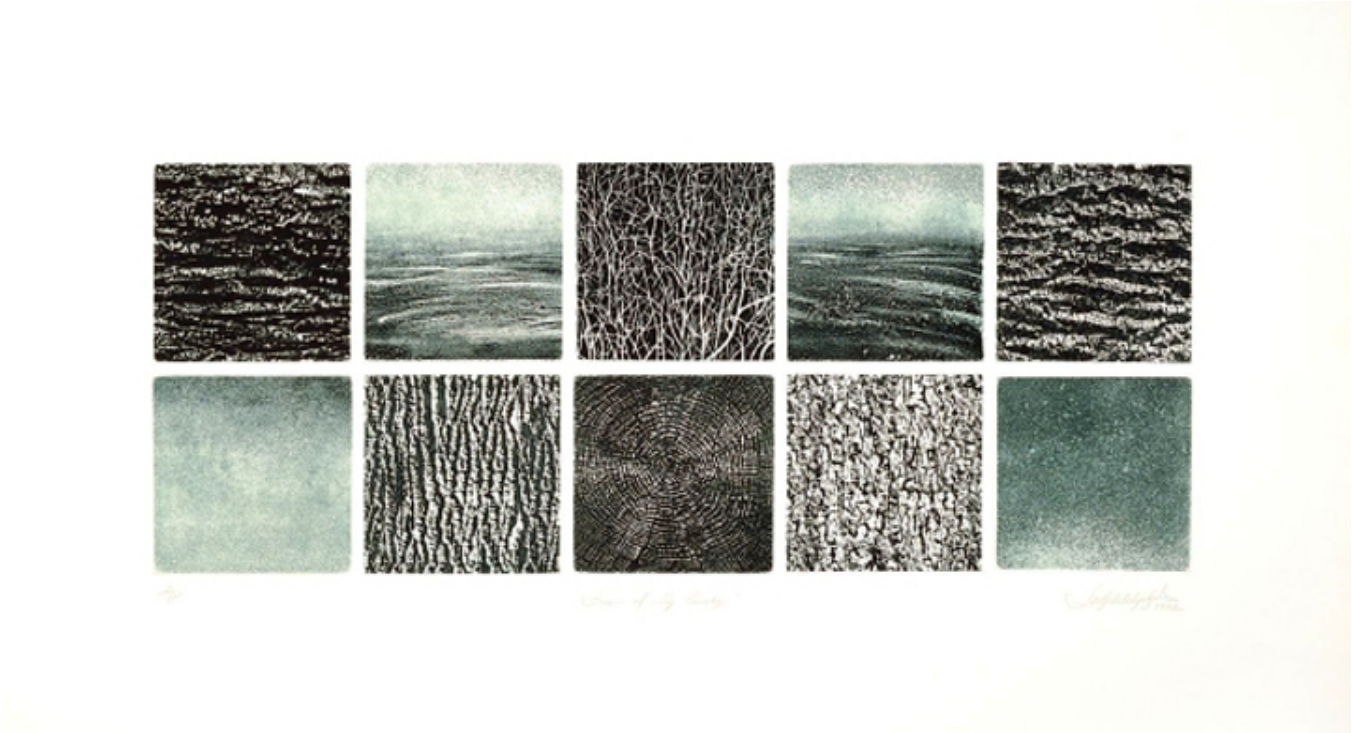

Leszek Wyczółkowski, Marzenie.

POWRÓT

po powrocie

kiedy już wszystkie samoloty posnęły

i nawet stary rozklekotany Boeing

rozluźnił hamulce powietrzne

ujrzałem

w naszej pięknej zatoce

słynnej na cały świat

z barwnych pocztówek

biały okręt

na pokładzie

nie było kobiety

w stalowym kostiumie

z zamarzniętymi łzami

na dnie oczu

ani dziecka

co spoconą dłonią

czepia się rękawa

przez chwilę

wydało mi się

że ktoś

batystową powiewa chusteczką

ale było to tylko lustro

w turystycznym barze

dlaczego więc

z takim żalem

odprowadzałem oczami

oddalający się warkocz wody

jak gdybym od lat

nosił na piersiach

w srebrnym zegarku

kosmyk włosów blond

przecież wyspa na której osiedliśmy

jest tak wygodna

pagórki pokryte

miękko-zielonym pluszem

przed domem dziewięć świerków

wiecznie zielonych

wino nie zamarza

tu w stągwiach

tubylcom brody nie dzwonią

soplami lodu

dusze mają oni

ciepłe i przejrzyste

dziewczętom opudrowanym jak motyle

z ust płynie woń mięty i miodu

a nad wszystkim

rozpościera się jedwabisty namiot nieba

którego delikatny lazur

> znieczula wszelkie niepokoje i troski
>
> jak eter

Mimo solidnego wykształcenia w języku i literaturze angielskiej – literackie zainteresowania i pasje Andrzeja Buszy od samego początku jego twórczości związane były z językiem polskim. Pracę magisterską na londyńskim *University College* napisał o wpływie polskości i literatury polskiej na twórczość Conrada. Wiersze zaczął pisać we wczesnej młodości „okresu londyńskiego" i pisał je początkowo wyłącznie w języku polskim. Oficjalnym debiutem poetyckim była publikacja wiersza „Łzy płyną w moim sercu" na łamach londyńskiego wydawnictwa emigracyjnego „Merkuriusz Polski – Życie Akademickie" w 1958. Z pismem tym (przemianowanym na „Kontynenty") i grupą młodych poetów polskich o tej samej nazwie, związany był przez resztę ich istnienia. Związał się wówczas blisko z kilka tylko lat starszym od siebie Bogdanem Czaykowskim. Ta przyjaźń i literacka współpraca trwała aż do śmierci Czaykowskiego w

2009 w Vancouver.

Już w początkach swej twórczości i dyskusji nad kształtem emigracyjnej literatury polskiej Busza wyraźnie akcentował i podkreślał różność i odmienność tej specyficznej literatury wychodzącej spod piór autorów, z Polską mających niewiele wspólnego. Zaznaczał, że Polska jest dla niego kształtem bardziej abstrakcyjnym niż dotykalnym. Uważał, że dzięki temu może się oderwać od pozaliterackich partykularyzmów literatury polskiej i dzięki temu właśnie osiągnąć pewien wymiar kosmopolityczny, paneuropejski. W takim rozumieniu „ojczyzną” poety był zasadniczo bardziej język polski i literatura polska niż rzeczywisty kraj.

Leszek Wyczółkowski, Odpowiedzi.

ELEGIA LATEM

dla Rossa Labrie

Nie było chłodu

w dzień zgonu Miłosza

od tygodni

żar słońca

prażył

Zachodnie Wybrzeże

dziewczęta

gołe w talii

w lekkich bluzkach

i spódniczkach mini

pląsały chichocząc

na wysadzanych palmami

bulwarach

one nic nie wiedziały

o starym człowieku

którego nazwisko

(jak kiedyś napisał)

można było znaleźć

w encyklopediach

między setką Millerów

i hasłem Mickey Mouse

a który z trudem

chwytał teraz powietrze

w krakowskim mieszkaniu

ocienionym przez lipy

i zmurszały mur

na Florydzie

huragan nazwany żartobliwie Charley

przewalił się przez Orlando

i smagał raj Disneya

jakiż to piękny motyl

w jakiej parnej dżungli

zatrzepotał skrzydłami

tak kruchymi lecz jak wielkiej mocy

w równowadze kolosalnych sił

w Bagdadzie

gdzie zaroiło się od rabusiów

kupy gruzów rosły

na południe od Babilonu

armia Mahdiego

gotowała się na męczeństwo

pod idealnym błękitem

poplamionym gdzieniegdzie

dymem

koloru indygo

co by ten stary człowiek teraz powiedział

(on, który zawsze umiał znaleźć słowo)

o świecie

który kochał

(ekstaza o wschodzie słońca

słowiki

wieczorem

mrożona wódka)

co by powiedział

kiedy znękane ciało

przemieniało się już tylko

w słowa słowa słowa

co by powiedział ten starzec

w tej chwili

przyspieszenia historii

> leżący z utkwionym ślepo wzrokiem
>
> w białą stronicę
>
> sufitu
>
> gdyby mu sił starczyło
>
> na słowa

W 1962 otrzymał nagrodę im. Kościelskich, jako jeden z pierwszych jej laureatów. W 1967 odwiedził Polskę, co było ważnym wydarzeniem w jego życiu, wiążącym się z konfrontacją wyobrażeń o kraju i rzeczywistości krajowej. Pobyt ten, jak i późniejsze powroty, opisywał jako pozytywne i ważne ewenementy w jego życiu. Mimo tych silnych związków emocjonalnych i kulturowych, w latach późniejszych twórczość Buszy ewoluowała bardziej w kierunku języka angielskiego. Stawał się on powoli nie tylko językiem jego prac

literaturoznawczych, akademickich, ale zaczynał dominować również w jego twórczości poetyckiej. Ale bez względu na język używany jako narzędzie twórczości poetyckiej – językiem kulturowym twórczości Buszy pozostała kultura europejska z silnym nawarstwieniem polskich tradycji kulturowo-literackich. Powodowało to też w nim samym konflikty i sprzeczności wewnętrzne. Pisał o tym w eseju *Cultural Dislocation and Poetry,* określając to jako: „sedno mojej kulturowej schizofrenii".

Współpracował z pismami emigracyjnymi, takimi jak: „Kultura" paryska, „Kontynenty" londyńskie, „Strumień" z Vancouver oraz pismami krajowymi: „Akcent" lubelski, „Fraza" rzeszowska i inne. Poza oryginalną twórczością poetycką opublikował szereg prac naukowych z dziedziny literatury. Zajmował się też tłumaczeniem twórczości poetów polskich – Mirona Białoszewskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Mieczysława Jastruna, Czesława Miłosza i Kazimierza Wierzyńskiego.

Biografia poety na podstawie Wikipedii

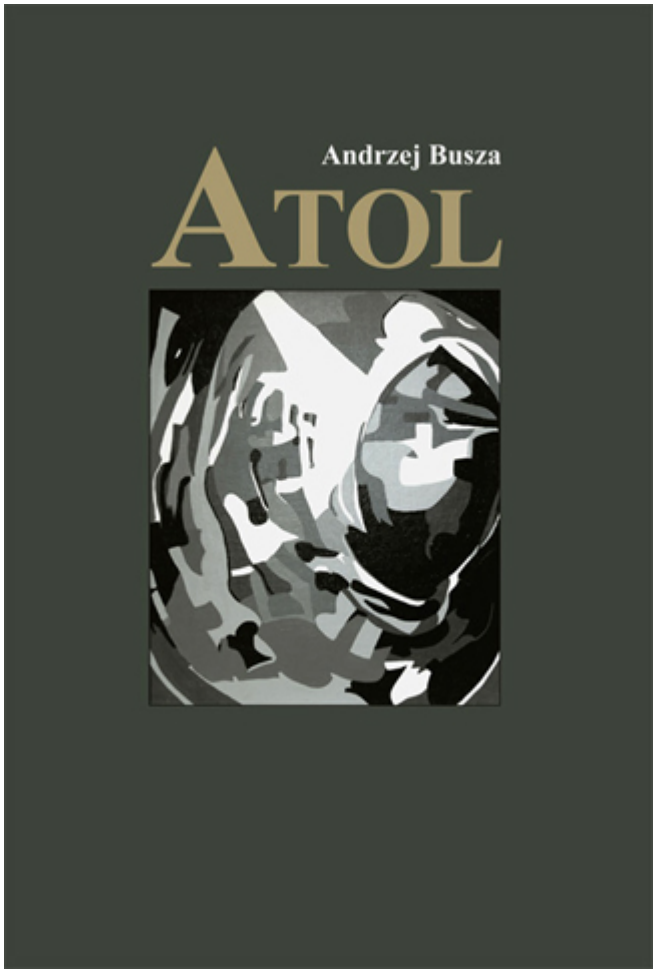

W czwartek, 5 października 2017 r. ukaże się esej dr Justyny Budzik z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorki książki „Zadomowieni i wyobcowani. O sytuacji pisarzy polskich w Kanadzie” na temat twórczości Andrzeja Buszy, a także relacja ze spotkania z poetą oraz autorką w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto w kwietniu 2017 r.

Andrzej Busza, Atol, wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w

Kanadzie i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto-Rzeszów 2016.

Giedroyć też człowiek

Jerzy Giedroyć, fot. Ignacy Szczepański.

Florian Śmieja

O redaktorze „Kultury” często mówiło się, że to „Książę”, a więc ktoś niezwyczajny, osobliwy, nietypowy. Taki *superman*, po którym rzeczą naturalną było spodziewać się rzeczy wybitnych: odwagi myślenia, suwerenności, dżentelmeństwa, klasy. I bez wątpienia Giedroyć cechy te posiadał w dużym stopniu.

Ale istniał również konkretny człowiek, Giedroyć z nałogiem palenia, zażarty korespondent, miłośnik psów.

Jego słynna recepta na długowieczność: palenie tytoniu, nie branie urlopu i obywanie się bez snu, nie wykluczała sporadycznych odchyleń, a przynajmniej marzeń. I tak w liście z 1957 roku odpowiadając na mój kolejny raport z hiszpańskich podróży Giedroyc pisał:

> Od lat nie byłem w stanie wziąć urlopu i jestem teraz zupełnie wykończony. Marzę o jakiejś maksymalnie pustej plaży, z dobrym piaskiem, ale nie zanadto prymitywnej. Gdyby Pan miał (nie sprawiając sobie kłopotu) jakieś adresy, to bardzo będę wdzięczny. Idzie mi o koniec sierpnia, raczej wrzesień.

Giedroyć drukował moje wiersze, przekłady, omówienia i noty (wiersze niekiedy akceptował Marian Pankowski, a później, Gustaw Herling-Grudziński). Nie raz je także odsyłał. Potrafił

cieszyć się cyklem recenzyjnych przeglądów nowości z literatury języka hiszpańskiego i powiedzieć o moich przekładach, że „niektóre są prześliczne”. Kiedy indziej rezygnował z oferty. Napisawszy kiedyś obszerną recenzję z monografii poświęconej hiszpańskiej literaturze emigracyjnej posłałem ją do „Kultury”. Redaktor szkic odrzucił.

> Temat jest niezmiernie interesujący i wymagający zarówno przeanalizowania, jak i wyciągnięcia wniosków, choć trudno porównywać sytuację emigracji hiszpańskiej z emigracją polską. Niech Pan się nie gniewa, ale Pana artykuł robi na mnie wrażenie, że jest pisany ze zbyt wyraźną i ze zbyt podkreśloną analogią do stosunków polskich. Z tą analogią nie bardzo się mogę zgodzić, gdyż trudno porównać stosunki w Hiszpanii i w Polsce, specjalnie w ostatnim okresie, no i sytuacja polskiej literatury emigracyjnej jest też inna.

Choć wywody Giedroycia nie były pozbawione pewnej racji, broniłem się w odpowiedzi zażarcie. Pisałem:

> Nie mogę się zgodzić z zarzutem, że pisałem „pod” coś (kraj?), „anty” coś (emigracja polska?). Co najwyżej można mnie pomawiać o mało krytyczne przyjmowanie tego, co hiszpański krytyk postuluje, a co można by częściowo

> zaliczyć do tzw. pobożnych marzeń. Wydawało mi się natomiast, że właśnie na podstawie różnych kwestii zawartych w omówieniu, ktoś bardziej powołany do sądu mógłby się pokusić o wykazanie, że polska literatura emigracyjna jest tak wspaniała jak grube są tomy Terleckiego i paplanina na temat literatury Mieroszewskiego […]
>
> Nie jestem naiwny, by twierdzić, że Hiszpania to wolny pod każdym względem kraj. Ale ponieważ idzie na nią nagonka ze wszystkich stron połączona z przemilczaniem pozytywów, staram się te ostatnie podkreślać. Jeśli więc jest coś w omówieniu pisanego pod kraj, to pewne prawdy o Hiszpanii, o których tam nie wolno pisnąć.

Kiedy Pablo Neruda otrzymał nagrodę Nobla, posłałem Giedroyciowi kilka przekładów jego poezji na język polski. Równocześnie odebrałem z Paryża fotokopię naiwnych politycznych wierszy Nerudy po francusku. Giedroyć śląc mi je prosił, bym je przełożył i tymi tekstami wzbogacił przesłane mu przekłady.

Odpowiedziałem wtedy odmownie argumentując, że te przesłane mi polityczne teksty nie reprezentują istotnej twórczości chilijskiego poety i że uważam przekładanie ich za stratę czasu.

Ciągnąłem dalej, że gdyby je drukować, oczywista stała by się tendencyjność i złośliwość. Pisałem:

> Sądzę, że te krańcowe przykłady partyjnego wiernopoddaństwa nadają się do jakiegoś złośliwego artykuliku o Nerudzie. Łobodowski o nim w tej wenie pisał. Ale czy „Kultura” powinna też tak pisać, nie wiem… Neruda jest wielkim poetą. I pozostanie nim, mimo politycznych nonsensów. Ktoś powiedział, że talent należy oceniać po szczytowych osiągnięciach, a charakter po jego niżach.
>
> Zresztą ponoć nasi Morsztynowie czy Trembecki nie zachowali się wcale lepiej, a ostatnio, tuziny pisarzy i poetów składało hołdy różnym przejściowym wielkościom i wrogom Polski. Najczęściej im to zapominamy. Spośród ostatnich emigrantów z Polski, z których wielu wspiera polską prasę, literaturę czy naukę na emigracji, niejeden ma na sumieniu głupstwa *a’la* wiersze Nerudy.

Moje argumenty redaktora przekonały.

Natomiast pryncypializmu Giedroycia doświadczyłem wstawiając się dwadzieścia lat temu za współpracownikiem, któremu „Kultura” zamknęła swoje łamy, profesorem Adamem Bromke. Argumentowałem wtedy tak:

> Jako jeden ze starych czytelników „Kultury” ubolewam nad tym faktem i sądzę, że nadszedł czas, by sprawę ponownie rozpatrzyć. Idzie mi zarówno o stratę doskonałego pióra, jak i o zasady wolnego pisma, z którym wielu ludzi wiąże nadzieje, pisma, które nie powinno bać się tolerancji i otwarcia na głosy i postawy Polaków. Skłania mnie do pisania raz po raz ukazujący się atak bardzo niepowołanych stróżów moralności, różnych panów z „Wolnej Polski” powołujących się na akt „Kultury”. Dawanie im broni do ręki jest jednym z niefortunnych następstw sytuacji jaka przed czasem zaistniała. Nie myślę, by było brakiem lojalności zlikwidowanie przez Pana całego incydentu.

Giedroyć na to nie poszedł. Odparł:

> Każde pismo ma swój profil i p. Adam Bromke do tego profilu nie pasuje, jak zresztą wiele innych osób. Ma on zresztą otwarte łamy szeregu pism, tak że nie można powiedzieć, że niedrukowanie go w „Kulturze” jest niedopuszczeniem go do głosu. Zresztą p. Bromke pisywał bardzo okazyjnie, jak swoje wspomnienia harcerskie w „Zeszytach Historycznych” i dwa czy trzy artykuły normalnie dyskusyjne, które zamieściłem w „Kulturze”, ale nie mogę przekształcić pisma na jedną wielką trybunę dyskusyjną. Byłby to nawrót do tradycji

> Grydzewskiego, którego bardzo wysoko ceniłem jako redaktora, ale nigdy nie podzielałem jego poglądów na sposób redagowania pisma.

Kiedy Polski Październik zelektryzował emigrantów na Zachodzie, oczy wielu skierowane były na Paryż. Wydając wtedy „Merkuriusza Polskiego” w Londynie pilnie obserwowaliśmy reakcję „Kultury”. W liście do Giedroycia niefortunnie użyłem słowa „wolta”. Redaktor się obruszył.

> Nie bardzo rozumiem co Pan nazywa „woltą Kultury”… Nie sądzę bowiem, by uważał Pan za woltę popieranie przez nas wolności prasy i tzw. rewizjonistów krajowych z „Po Prostu” i „Krzywym Kołem” na czele? Popierając Październik i udzielając kredytu Gomułce nie traktowaliśmy tego jako wstąpienia do nowego BBWR, a jedynie przyłączenie się do walki prowadzonej w kraju o dalszą demokratyzację stosunków, nie tracąc ma się rozumieć z oczu wszystkich trudności, które istnieją. Mówiąc inaczej współpracujemy z pismami i czynnikami niezależnymi, a nie z czynnikami oficjalnymi. Chyba to też powinno być po linii „Merkuriusza”?

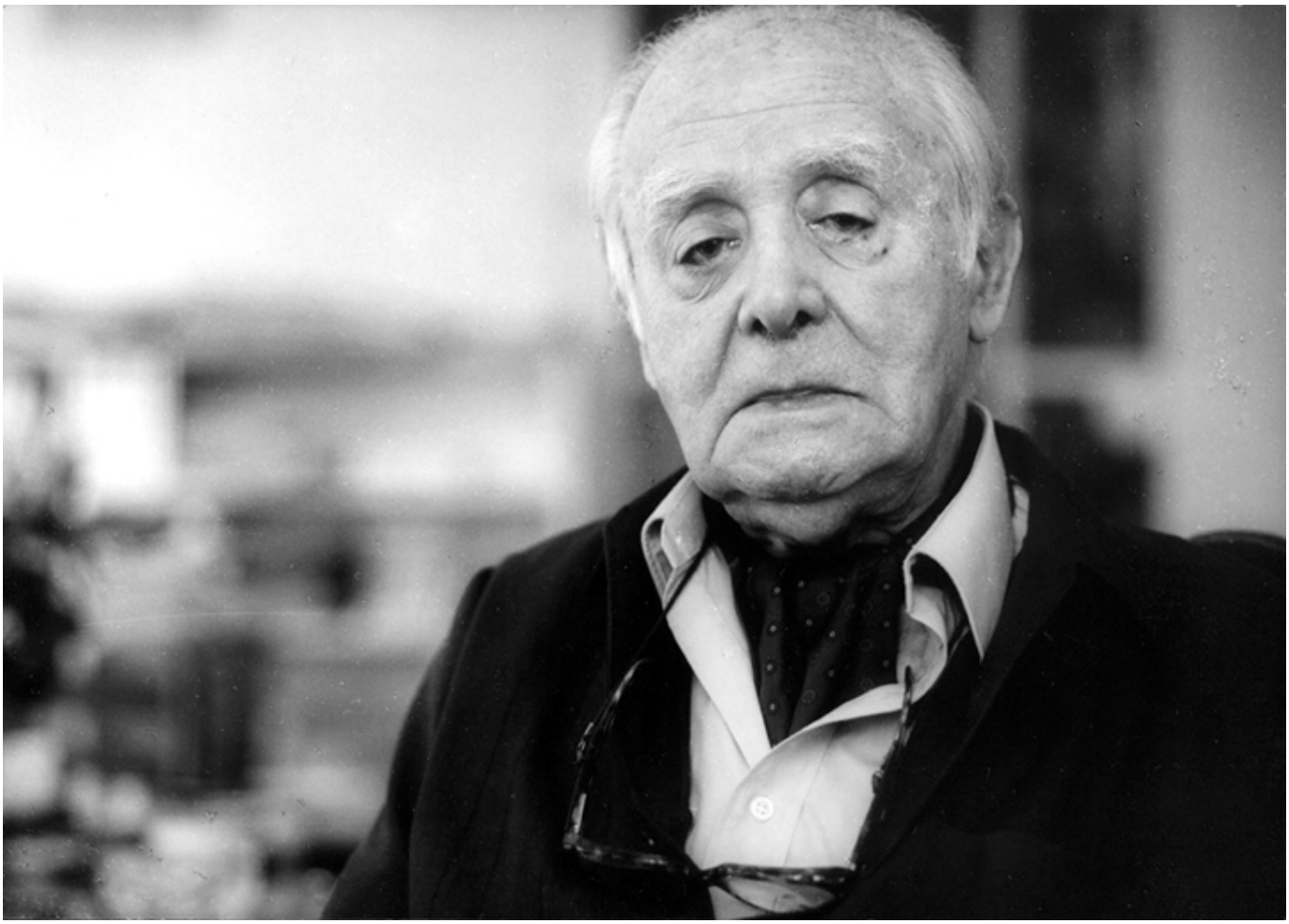

Jerzy Giedroyć, fot. Polskie Radio dla Zagtanicy.

W innym liście kilka dni później dodał:

> Popieramy przecież nie system, czy Gomułkę, ale popieramy wszystkie przejawy ewolucyjnego demokratyzowania czy normalizowania stosunków w kraju, gdyż innej drogi nie ma. To stanowisko wymaga również energicznego zwalczania wszystkich prób nawrotu do dawnych metod, czy też do utrzymania nienaruszonego prymatu partii. Sądzę, że nie warto zajmować się grupkami emigracyjnymi „współpracującymi z krajem”. Zawsze to ma wydźwięk

> jakichś rozgrywek personalnych. W związku z ostatnimi wydarzeniami w kraju, jak również atakami „Nowych Dróg” i „Trybuny Ludu” na naszą linię, przygotowuję rodzaj listu do czytelników krajowych, który zamierzam wysyłać niezależnie od „Kultury”. Tekst będę miał dociśnięty i wydrukowany do końca przyszłego tygodnia i przyśle Panu parę egzemplarzy. Bardzo jestem ciekaw jak Panu będzie się podobał. Będzie to z jednej strony praktyczne i realistyczne credo „Kultury”, a taktycznie próba zaopiekowania się „rewizjonistami” to jest narastającą opozycją lewicową. Do opozycji lewicowej przywiązuję specjalną wagę, gdyż jest ona dla ustroju komunistycznego o wiele groźniejsza od prawicy czy katolicyzmu: to trudniej skwitować określeniem faszyzm czy reakcja.

Czuły na problemy polskie niepokoił się m.in. sytuacją na Śląsku. Szczególnie poczynania partyjnego betonu osiadłego w Opolu napawały go troską. Kiedy doniosłem mu o powstaniu nowego uniwersytetu w tym mieście, ucieszył się.

> Sprawa powstania uniwersytetu dla Ślązaków z naciskiem na sprawy humanistyczne wydaje mi się sprawą niezmiernie ważną. Czy nie zechciałby Pan napisać na ten temat do „Kultury”?

Orientując się świetnie w różnych sytuacjach redaktor nie rozumiał, że uniwersytet na Śląsku wcale nie był dla Ślązaków i że w takim Opolu Ślązaka trzeba szukać, niestety, ze świecą.

Prawdą jest, że Giedroyć bardzo się starał znaleźć ludzi, którzy mogli o Śląsku pisać wiarygodnie. Ukazały się w jego piśmie wypowiedzi Stanisława Bieniasza, Ryszarda Surmacza, a wreszcie Krzysztofa Karwata. Ja również napisałem na jego prośbę duży reportaż z Opola będąc świadkiem ostrej agitacji establishmentu w obronie osobnej administracji. Szczególnie kapitalne wydały mi się zabiegi dzierżącego władzę betonu, który nagle, po latach poniewierania rodzimą ludnością, zaczął drapować się na przywiązanych do ziemi, jej przeszłości i obyczajów Ślązaków, dla zachowania kilku tysięcy wygodnych foteli. Artykuł mój wypadł zbyt enigmatycznie, był chaotyczny, za dużo w nim było ekstrawaganckich wypowiedzi lokalnych demagogów straszących bezrobociem i haraczem na rzecz oczyszczania terenów katowickiego zagłębia węglowego, obiecujących dobrobyt w niezależnym województwie, bojących się utracić stanowisk władzy odziedziczonych po ojcach, którzy przyjechali budować socjalizm wśród opornych Ślązaków. Interes państwa widzieli w zachowaniu za wszelką cenę własnych posad. Takie wygodne rodzime Naddniestrze.

Giedroyć zaproponował, bym artykuł przeredagował i ewentualnie przedstawił jako impresje z Opola. Dodał:

> Bardzo liczę, że Pan nie odmówi, bo temat jest, rzeczywiście, niezmiernie ważny.

Tymczasem biegł czas, reforma administracyjna w Polsce stała się faktem. Przypominanie kłamstw agitacyjnych nie miało wielkiego sensu. Władze się ostały. Opolanie na własnej skórze doświadczyli pogorszenia się ekonomicznej sytuacji województwa, jak to było do przewidzenia od początku.

Kiedy wykładałem we Wrocławiu, szykowała się akurat wyprawa autokarowa redakcji pisma z Kłodzka do Paryża. Dołączyli do niej chętni z innych miast. Chciałem także pojechać, bo oprócz zwiedzenia Paryża w programie była wizyta w Maisons Laffitte. Okazało się jednak, że do Giedroycia pójść miała tylko delegacja złożona z dwu, trzech osób. Redaktor nie chciał tłumów. W tej sytuacji nie wypadało zabierać miejsca ludziom, którzy Giedroycia nigdy nie widzieli, a w końcu ja byłem u niego parokrotnie i spotykałem go w Londynie, w czasie jego wizyt. Zrezygnowałem więc z wyjazdu, czego żałuję niezmiernie, gdyż była to, jak czas okazał, ostatnia szansa, by redaktora zobaczyć. On natomiast dowiedziawszy się o moich wahaniach zapewniał, że czas by znalazł na pogadanie o różnych rzeczach. Wierzę, gdyż nieraz doniósłszy mu o moich podróżach, czy zamiarach, natychmiast otrzymywałem wskazówki i adresy osób, które miałem odwiedzić i poznać.

I tak, bardzo cieszył się z mojej wizyty w Wilnie i zachęcał do wykładów na tamtejszym uniwersytecie, co udało mi się zrealizować w maju 1999. Polecał mi również Mińsk, ale najwięcej wskazówek otrzymałem na temat działaczy na Zaolziu, bo jeździłem do Ostrawy na wykłady literatury hiszpańskiej i odwiedziłem Cieszyn. Poszukałem dla Witolda Gombrowicza tłumaczy na hiszpański, próbowałem nagrać rozmowę z dyrektorem Ossolineum, ale po wielu próbach zrezygnowałem widząc jego niezdecydowanie. Przekazywałem polecenia Kisielewskiemu i Słonimskiemu w Polsce.

Kiedy w roku 1999 poinformowałem Giedroycia o zwolnieniu Jarosława Abramowa z funkcji redaktora „Związkowca" w Toronto, odpowiedział pesymistycznie:

> Historia ze „Związkowcem" jest dosyć okropna. W ogóle Polonia Kanadyjska coraz bardziej się rozkłada. Bardzo to smutny objaw. Z Polonią Amerykańską, mimo wysiłków Nowaka, nie jest lepiej.

Ostatnie listy najczęściej mówiły o chorobie i śmierci w Toronto redaktora Benedykta Heydenkorna. Giedroyć ustawicznie się o niego troszczył, a po jego śmierci napisał o nim piękne wspomnienie. Natomiast, kiedy po czasie wdowa chciała przekazać na Fundusz Kultury pewną kwotę pieniędzy, Giedroyć

stanowczo odmówił przyjęcia.

Jeszcze 20 lipca 2000 roku na moje doniesienie, że ugryzł mnie pies i że nic w tej sprawie nie uczyniłem, otrzymałem odpowiedź Giedroycia:

> Widzę, że mamy wspólne przeżycia z psami. To, że nie poszedł Pan na policję, to w porządku, ale lekarza lepiej było odwiedzić, bo mógłby mieć Pan komplikacje takie jak u Zosi (Hertz – FS). Miejmy nadzieję, że pomału wrócimy do normy po wszystkich trzęsieniach ziemi, które przeżywaliśmy, z huraganem włącznie, który uszkodził dach i nasze drzewa.

Niestety, ostatnie słowo w naszej korespondencji miała poczta elektroniczna, szybka, wygodna, ale zdawkowa, efemerydalna i nietrwała. Giedroyć obiecał mi jeszcze wydrukować w numerze wrześniowym „Kultury” rozmowę, którą przeprowadziłem z Bolesławem Taborskim po sesji w Toruniu poświęconej Jerzemu Pietrkiewiczowi. Nikt nie przewidział, że będzie to już jego ostatni numer.

Piękno, poezja i sztuka w dobie cywilizacji obrazkowej

Rozmowa z księdzem profesorem i poetą Januszem Ihnatowiczem

Ksiądz prof. Janusz A. Ihnatowicz, fot. Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę księdza, pisze ksiądz już od wielu lat łącząc działalność duszpasterską z twórczością poetycką. Czy księdza poezja ma w jakimś stopniu dotrzeć do konkretnego czytelnika i spełnić rolę katechezy?

Janusz Ihnatowicz: Na pewno odbiorca jest potrzebny, bo pisze się po to, żeby ktoś przeczytał. Ale w momencie pisania nie myślę o nim. Nie mam też na uwadze celów dydaktycznych, ani jakichkolwiek innych.

JSG: W księdza przypadku poezja więc nie ma związku ze stanem kapłańskim, twórczość idzie niezależnym torem?

JI: Nie wierzę w kapłaństwo poezji, jak to niektórzy nazywają. Przede wszystkim poezja jest na niższym poziomie. Pisanie wierszy to trochę tak, jak bycie kucharką. Pisze się po to, by sprawić ludziom przyjemność.

JSG: Czy wobec tego pierwszoplanową funkcją sztuki jest dla księdza funkcja estetyczna?

JI: Tomasz z Akwinu powtórzył za Grekami definicję piękna – *pięknymi nazywamy rzeczy, które podobają się, gdy się je ogląda* (*Summa teologiczna)*. Jeśli sztuka mi nie sprawia przyjemności i

muszę się męczyć przy odbiorze, to może zawierać dobrą informację i pokłady głębokiego myślenia, ale dla mnie nie jest dziełem. Oczywiście nie oznacza to, że rzecz ma być łatwa. Np. niektóre utwory Eliota są trudne, ale już pierwsze czytanie sprawia zadowolenie.

JSG: Wspomniał ksiądz Eliota. Jakich poetów wymieniłby ksiądz jako swoich mistrzów poetyckich?

JI: Mistrzów mamy różnych w różnych okresach życia. Gdy byłem młody miałem ograniczony dostęp do polskiej literatury. W wieku 17-18 lat moja znajomość literatury pochodziła jedynie z antologii. W Anglii nie mieliśmy tekstów, podręczników. W latach 40. młodzi ulegali modzie, wyśmiewali Słowackiego, a czytali Norwida. Potem przyszedł czas Gałczyńskiego. Próbowaliśmy go naśladować. Z angielskich pisarzy na pewno cenię T.S. Eliota czy Dylana Thomasa. Ale nie wiem czy ich można nazwać mistrzami. Podpatruje się różne ich sztuczki. Na tym rzecz polega.

JSG: Czy ksiądz się utożsamia z grupą poetycką „Kontynenty", powstałą w powojennym Londynie?

JI: Mój związek z „Kontynentami" jest trochę przypadkowy. Na pewno wiekowo pasowałem do tej grupy, bo wszyscy kończyliśmy uniwersytety w tym samym czasie. Wokół „Kontynentów" tworzy się teraz mistyczna aura. Tak na prawdę

wszyscy młodzi tam pisali, bo to było jedyne pismo, w którym mogli drukować. Dostać się do „Wiadomości” nie było tak łatwo. Ja dostałem się tam dopiero w latach 50., a przez parę lat, do 1958 roku drukowałem w „Kontynentach”. Potem wyjechałem do Ameryki i kontakt się urwał. Poszliśmy swoimi drogami.

Podejrzewam, że te masowo powstające utwory nie były wiele warte. Mieczysław Grydzewski wykazał się zmysłem krytycznym, skoro nie wszystko chciał drukować. Takich ludzi, którzy chcieliby być poetami zawsze jest bardzo dużo. Wtedy do Anglii różnymi drogami trafiła duża grupa Polaków. Ponieważ na emigracji nie było normalnych warunków, szkolnych pisemek itd., gdzie można było się „wypisać”, to taką rolę spełniał „Merkuriusz” czy „Kontynenty”. A dlaczego pisano po polsku, a nie po angielsku, to każdy miał na ten temat inną odpowiedź.

JSG: Jak to się stało, że pod koniec lat 50. zdecydował się ksiądz wrócić do Polski?

JI: Namówił mnie m.in. biskup Kaczmarek. Ściągnął mnie ze Stanów i Zygmunta Pioniera z Francji. Wszystkim się wydawało, że Władysław Gomułka otworzy drzwi dla Kościoła i będzie można coś dobrego w Polsce zrobić. Teraz wiemy, że 1956 roku Gomułka lawirował, żeby się dostać do władzy, a potem, w 1958 wycofał obietnice i wszystko wróciło do starej normy. Tak więc ani Pionier, ani ja nie dokonaliśmy niczego specjalnego.

Skończyłem w Polsce Seminarium Duchowne w Kielcach, przez rok byłem na Akademii Teologicznej w Warszawie, a potem, w 1966 roku udało mi się wyjechać na studia do Kanady i już zostałem.

Kaplica przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Po takim wyjeździe pewnie miał ksiądz kłopoty z przyjazdem do Polski. Kiedy udało się księdzu ponownie przyjechać do kraju?

JI: Po raz pierwszy dostałem wizę dopiero w 1981 roku, gdy powstała „Solidarność". Miałem przyjechać do Kielc na rok akademicki 81/82, aby wykładać w seminarium. No, ale stan wojenny temu przeszkodził, bo anulowano wszystkie wizy. Następną wizę dostałem w 1987 roku. Wtedy byłem w Polsce przez 6 miesięcy i wykładałem w Kielcach. I od tego czasu praktycznie co roku jeżdżę do Polski.

JSG: Jak ksiądz wspomina swoje pierwsze tomiki wierszy?

JI: Pierwszy został przyjęty do druku przez PIW w 1958 roku, ale nigdy się nie ukazał, bo zdjęła go cenzura. Wydał go dopiero „Znak" w 1971 roku pt. „Wiersze wybrane". W międzyczasie w Londynie u Bednarczyków w „Oficynie poetów i malarzy" wyszedł kolejny, drugi tomik. Trzeci ukazał się na początku lat 90. w Warszawie, wydany przez wydawnictwo „Lumen", które już nie istnieje. Wydawnictwo padło, właściciel umarł i nikt nie wie, co się stało z książkami, które nie zostały rozprowadzone. W tym czasie wyszedł angielski tomik.

JSG: Księdza wiersze są też w różnych antologiach.

JI: Tak, w wielu, sam nie wiem za bardzo w jakich. Na pewno w antologiach „Kontynentowców”. W antologii poezji emigracyjnej, która wyszła w Polsce, cenzura nie puściła moich wierszy. Natomiast w antologii „Ryby na piasku” wydanej w Londynie znalazło się kilka moich tekstów. Karl Dedecjusz umieścił mnie w swoich antologiach – „Lektion der Stille” i w kilkutomowym wydawnictwie. Dedecjusz robił dobre tłumaczenia. Muszę przyznać, że jeden mój wiersz w wersji niemieckiej jest lepszy od oryginału.

JSG: Co ksiądz sądzi o obecnej poezji emigracyjnej?

JI: Trudno mi coś sądzić, bo bardzo mało wiem na ten temat. To, co czytam nudzi mnie w sposób nieludzki. Pewnie jestem uprzedzony. Kiedyś jeden z angielskich poetów powiedział: są dwa rodzaje ludzi, ci którzy czytają wiersze i ci którzy je piszą. Więc ja stosunkowo niedużo wierszy czytam. To, co do mnie dociera w pismach emigracyjnych, polskich czy angielskich, albo jest niezrozumiale i nie wiadomo o co chodzi, albo jest to proza dziennikarska pisana wierszem. Ale, jak mówiłem, jestem uprzedzony, bo jak nie ma rymu, to mi się nie podoba.

JSG: Jaki według księdza wpływ na odbiór piękna mają nowe środki komunikacji? Czy człowiek może zatracić naturalną wrażliwość poprzez ciągły kontakt z komputerową iluzją, oglądając np. dzieło malarskiej sztuki

na ekranie, a nie w muzeum?

JI: Między obrazem w muzeum, a na ekranie w gruncie rzeczy nie widzę wielkiej różnicy. Chociaż puryści twierdzą, że jest. Moi koledzy z Wydziału Sztuk Pięknych pewnie ukamienowaliby mnie za tę herezję. Mnie się wydaje, że problem z mediami polega na czymś innym. Jak to powiedział Marshall McLuhan, przekaz staje się tym, co się przekazuje (*The medium is the message*). Właściwie należałoby zapytać, co jest przekazywane.

JSG: Jakie widzi ksiądz oddziaływanie rewolucji informatycznej, która się odbywa na naszych oczach, na współczesnego człowieka?

JI: Wpływ komputerów na człowieka jest duży. Ludzie zaczynają żyć w odosobnieniu kosztem kontaktów międzyludzkich. Widać to zwłaszcza u młodzieży, która nie jest w stanie niczego robić wspólnie, siedząc godzinami każdy przy swoim ekranie. Przy tym ogromnym tempie zmian, zatraca się zmysł kontemplacji. W jakimś sensie jest to zubożenie kultury. Kultura jest przecież czymś więcej niż błyskaniem obrazków.

JSG: Świat, w którym żyjemy stał się produkowanymi gotowymi substytutami kultury. Ekran monitora i wirtualna rzeczywistość zastępują obcowanie z drugim człowiekiem, a przetworzony i uproszczony obraz zastępuje

słowo.

JI: Cywilizacja obrazkowa, której jesteśmy świadkami, uniemożliwia ludziom myślenie. Zauważyłem to zjawisko wśród studentów, oni myślą pod wpływem telewizji, obrazek za obrazkiem. Ale związku pomiędzy obrazkami nie widzą. Im jest bardzo trudno czytać tekst, który prowadzi jakiś argument. Oni się w tym gubią. Pisać też nie potrafią. To jest konsekwencja myślenia obrazkami, a nie pojęciami. Obrazkami można dużo uzyskać, ale pojęcia są konieczne i nie mogą być zastąpione. Poza tym cywilizacja obrazkowa likwiduje wyobraźnię. Kiedy dzieciom się coś opowiada, one muszą sobie to wyobrazić. Gdy się dzieciom tylko pokazuje obrazki, nawet najlepsze, ale już gotowe, dziecko jest kształtowane na odbiorcze, a nie twórcze.

Wnętrze kaplicy przy Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston, fot. pinterest.

JSG: Podczas pracy na Uniwersytecie Łódzkim, na zajęciach z Analizy Dzieła Literackiego, wiele razy próbowałam wytłumaczyć studentom, że nawet najlepsza filmowa adaptacja dzieła literackiego nigdy go nie zastąpi. Obraz to nie to samo, co literatura. Przyszli humaniści jednak argumentowali, że na czytanie lektur nie mają czasu.

JI: Oczywiście, aby przenieść książkę na ekran, należy tekst bardzo uprościć. Np. “Wojna i pokój” Lwa Tołstoja. Rosjanie zrobili chyba najlepszą adaptację, która trwała jednak 20 godzin.

W latach 60. jedna z polskich aktorek zaproponowała mi przerobienie „Anny Kareniny” dla potrzeb teatralnych. Miał to być spektakl dwóch osób. Zacząłem próbować. Wiadomo, że przedstawienie może trwać dwie godziny, nie więcej. Co tu więc ściąć? W końcu doszliśmy do wniosku, że takiej teatralnej adaptacji nie da się zrobić. Jeżeli tekst zetnie się do dwóch godzin, zostanie z niego romans. Ona – żona zdradza męża, a później kochanek wrzuca ją pod pociąg. Medium obrazkowe ma zupełnie inny charakter i inne możliwości, nie może więc zastąpić książki. Czasowo nie jest się w stanie wszystkiego pokazać. Choć niektóre rzeczy można oddać dobrym aktorstwem. Jednym spojrzeniem, czy wyrazem twarzy aktor może pokazać dwie strony tekstu. W latach 50. w Toronto widziałem sztukę, graną przez sławną parę aktorską pt. „Schreck”. Schreck to gatunek ptaka, którego samica zżera samca. W sztuce mąż próbuje uwolnić się od żony i próbuje popełnić samobójstwo. Ostatecznie zostaje oddany przez psychiatrów pod kontrolę żony, która od tej pory staje się jego prawnym opiekunem. On to wszystko słyszy. Jest w sztuce taki moment, w którym On, odwrócony tyłem do publiczności, plecami pokazuje swoją tragedię.

Z polskich ekranizacji bardzo dobry jest, według mnie, „Pan Tadeusz”. Wszystkie opisy zostały zamienione na obraz, dialogi są wierszowane. Właściwie „Pan Tadeusz” został nienaruszony.

JSG: W jakim stopniu w cywilizacji obrazkowej zatracamy granicę pomiędzy rzeczywistością, a iluzją?

JI: Najbardziej podatne na utratę poczucia rzeczywistości są dzieci i młodzież. Badania psychologiczne wykazały, że ostatnio zastraszająco częste zbrodnie dzieci, w dużej części wynikają z wpływu mediów. Ktoś kogoś zastrzelił, on się przewraca, a w następnym tygodniu znów jest na ekranie. Dzieci i młodzież coraz bardziej żyją w świecie ułudy.

JSG: Co wobec tego należałoby zrobić, żeby nie poddać się wielkim korporacjom, które dla sukcesu finansowego, narzucają nam taką, a nie inną wizję świata?

JI: Praktycznie jest tylko jedno wyjście, żeby mieć kontrolę nad tym, co wchodzi do naszej wyobraźni – wyłączyć telewizor. Nikt mnie nie może zmusić, żebym patrzył. Ludzie powinni być świadomi, co się dzieje z naszymi umysłami pod wpływem telewizji i powinni starać się to kontrolować. Ale ludzie potrzebują przyjemności intelektualnej i emocjonalnej. Jeżeli sztuka im tego nie daje, będą zadowalać się namiastkami. Artyści muszą się obudzić i produkować coś, co będzie dla ludzi

pożywką, wtedy prawdopodobnie następne pokolenie zacznie wracać do sztuki.

JSG: W takim razie wyjątkowe zadanie ma we współczesnym świecie literatura i literaci.

JI: Nasz problem nie polega na tym, że się dobrze nie pisze, ale że nikt nie czyta. Społeczeństwo wychowane na obrazkach, nie jest w stanie przyjmować tekstu pisanego. Wyobraźnia już nie działa. Drugi problem polega na tym, że pisarze nie chcą pisać dla ludzi. Piszą dla siebie i nie są zainteresowani odbiorcą, a nawet pogardzają nim. Uważają, że są lepsi od innych. To jest też właściwość innych artystów, nie tylko pisarzy. Jeśli nie podoba ci się mój obraz, to znaczy, że jesteś Filistyn, bo to jest bardzo głębokie. Jeśli pisarze nie chcą pisać, po to, żeby ich czytano, to nie będą czytani. Stosunkowo mało jest książek, pisanych tak jak pisał Sienkiewicz: ku pokrzepieniu serc. A ludzie chcą mieć pokrzepione serca i szukają takich rzeczy. Dlatego, gdy się znajdzie literat, który pisze dla ludzi, to wszyscy go czytają. Takim przykładem jest ksiądz Twardowski. On po prostu do nich mówi.

JSG: Jaką rolę przyjmuje na siebie Kościół w kreowaniu i popieraniu kultury w dobie cywilizacji obrazkowej?

JI: Kościół ma stosunkowo małe możliwości w dziedzinie kultury.

Może popierać pewnych artystów, może być mecenasem sztuki i literatury. Ale co Kościół może promować? W stosunku do sztuki, która przedstawia wizję świata całkowicie przeciwną chrześcijańskiej wizji, Kościół nie ma nic do roboty. Trudno wymagać, że Kościół popierał Andy Warhol'a. Artysta często nie chce zrozumieć, że jego twórczość nie musi być zaakceptowana. Z drugiej strony kler nie zawsze jest wykształcony w tej dziedzinie. Więc często woli kicz od prawdziwej sztuki. Kościół wprawdzie stara się kształcić kler w dziedzinie estetycznej, ale nie buduje muzeum.

JSG: Bardzo dziękuję księdzu profesorowi za rozmowę. Miejmy nadzieję, że *każdy w sobie cień pięknego nosi,* jak pisał Norwid i że w dobie cywilizacji obrazkowej nie zatracimy swojego człowieczeństwa oraz wszelkich wartości.

Ks. prof. Janusz A. Ihnatowicz urodził się w Wilnie 26. VII. 1929 roku. Dzieciństwo spędził w Częstochowie, dokąd rodzice przenieśli się w 1935 roku. Tam też wraz z siostrą Irmą i matką Zofią z Szymanowskich spędził lata wojny. Ojciec Stanisław, zawodowy oficer w wojsku polskim, walczył w kampanii wrześniowej. Następnie przez Francję przedostał się do Anglii. W 1946 roku reszta rodziny do niego dołączyła. Janusz Ihnatowicz zarówno szkołę średnią, jak i studia filozoficzne i psychologiczne

ukończył w Dublinie. W 1951 roku wyjechał do Kanady. Wrócił do Polski w 1958 roku, wstąpił do Seminarium Duchownego w Kielcach i do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. W 1962 roku otrzymał święcenia kapłańskie. W 1966 roku znów znalazł się w Toronto. Doktoryzował się w Instytucie Duchowości w Rzymie. Od 1969 roku wykładał teologię i patrystykę na bazyliańskim Uniwersytecie Św. Tomasza w Houston (*University of Saint Thomas*). W 1997 roku przeszedł na emeryturę. Jako *professor emeritus* ciągle ma kontakt z uczelnią.

Poeta, krytyk literacki i tłumacz. Debiutował jako poeta w 1954 r. w pismach londyńskich wierszami opublikowanymi w miesięczniku „Życie Akademickie”, prozę publikował w tygodniku „Życie”. Literacko związany był z grupą poetycką *Kontynenty* skupioną wokół pisma „Kontynenty-Nowy Merkuriusz”. Autor przekładów „Psalmów” z hebrajskiego. Wydał tomiki poezji: „Pejzaż z postaciami” (Londyn 1972) i „Wiersze wybrane” (Kraków, Znak 1973). Tom wierszy w języku angielskim „Displeasure” ukazał się w Londynie w 1975 roku. Był m.in. korektorem literackim pierwszego wydania Biblii Tysiąclecia (1965). Tłumaczył na język polski poetów angielskich i amerykańskich (Wa;t Whitman, Ezra Pound), przełożył też na angielski sztukę Jerzego Zawieyskiego *Sokrates*. Drukował w „Tygodniku Powszechnym”, „Więzi”, „Znaku”, „Kulturze”, „Wiadomościach”, „Oficynie Poetów i Malarzy”.

W 1973 roku otrzymał nagrodę Fundacji Kościelskich. W 2011 roku został uhonorowany nagrodą Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. W 1997 r. otrzymał papieski krzyż *Pro Ecclesia et Pontifice*.

Jest członkiem Instytutu Naukowego w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie oraz polskigo Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

(na podstawie Wikipedii).

Czesław Miłosz. Jubilat.

Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

Florian Śmieja

Wśród starych, zapomnianych papierów odnalazłem niedawno wiele lat temu napisane słowo zagajenia wieczoru autorskiego Czesława Miłosza, który się odbył w Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie 26 czerwca 1963

roku.

To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”, tekst wydrukowany następnie w „Kontynentach” w numerze 57, wrzesień 1963. W jednym z punktów stwierdził zaskakująco:

> Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym…

A także:

> Szczegół kraju w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej zasadniczej stawki.

A oto co wtedy powiedziałem:

Szanowni Państwo,

Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej Sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego Gościa, jakieś sześć, a

może siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać Poetę w naszych progach.

Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychylność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w „Kontynentach" kilka miesięcy temu, w której nie szczędząc nam zresztą uwag krytycznych, Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma bezprawnie przywłaszczyliśmy sobie z jego książki. Ale to jest jego wersja prywatna. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma – a taki epitet wyczytałem w „Dzienniku Polskim", naszej londyńskiej wyroczni – na cześć „Kontynentów". To że uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru miesięcznika świadczy o jego znakomitej intuicji poetyckiej. W jego korespondencji, wreszcie, znajdziemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyśliwał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na

słowiańskim dumaniu… A Miłosz, zaiste, zasługuje ze wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi – i zapewne nie bez racji – o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski, a także na język angielski, otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby *in nuce* charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały.

Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego

Gościa „Król Popiel” z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej.

Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

> Nad jego grobem Mozarta zagrali
>
> Bo nic nie mieli co by ich dzieliło
>
> Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
>
> A pod za dużym niebem za cicho im było.

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

> Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
>
> I babim latem unosił się długo,
>
> Niknąc nad głową, w tej pustce którędy
>
> Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.

Proszę Państwa, oddaję głos Autorowi.

***

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in.

> Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata…

Myślę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczaić.

Trwać przy zasadach

Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857–1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa

Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.

Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada" w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że

wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.

Redakcja

Florian Śmieja: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność" pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.

Zdzisław Najder: Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności", napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.

ZN: Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdzieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna", i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym – w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada", wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.

Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

FS: Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

ZN: Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne

sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu – na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydzali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu, postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada… Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania – i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść – więc powinniśmy się zabezpieczyć.

FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?

ZN: Ależ siedzę, siedzę – też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak rację, mnóstwo – może jeszcze więcej – czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć

kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 – zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zajęć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.

Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdewaluowały niedawne czasy i nieludzkie doświadczenia ostatnich pokoleń?

ZN: Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne**.** Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnocie honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatrata tych wariackich wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do

wierności odwołuje się też jego szkic „Duszyczka” w tomie „Labirynt nad morzem”.

FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.

ZN: Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?

ZN: Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i

rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstaranniej i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe – ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

FS: Wróćmy do Conrada. Co z twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?

ZN: Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej”) w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane – mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas”) – a na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:

FS: Czy *casus* Conrada może posłużyc emigrantom polskim rozsianym po świecie za pomocny drogowskaz?

ZN: No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem" tylko w sensie intelektualnym.

FŚ: A w sensie osobisto-duchowym?

ZN: W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona – uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla

nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych – bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada,* Uniwersytet Opolski 2000 r.